Rok II. Kraków, dnia 1go Lipca 1870. Ner 13.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

TREŚĆ Nr. 13. Od Redakcyi. — Siłacze w Polsce. — Rady dziadka (wiersz). — Prześladowanie kościoła katolickiego (z ryciną). — Jeszcze słów kilka o zjeździe w Krakowie. — Rozmaitości. — Kalendarz. — Urlopnicy przy robocie. — Książki pożyteczne. —

Od Redakcyi.

Numer dzisiejszy jest pierwszym z drugiego półrocza.

Przypominamy zatem wszystkim P. P. Prenumeratorom, którzy nam dotąd jeszcze nie nadesłali przedpłaty na trzeci kwartał, czyli na drugie półrocze, że stósownie do poprzednich ogłoszeń nie będziemy posyłać im „Włościanina.“

Zarazem zawiadamiamy, że „Włościanin“ — odtąd wychodzić będzie najregularniej tak, że każdego 1go i 16go już w rękach Czytelników być powinien.

Wina w spóźnianiu się numerów, ciążyła na Administracyi, która nie wygotowała na czas expedycyi.

Zmieniliśmy wiec Administracyę naszego pisma i odtąd wszystko będzie już w porządku.

Prosimy, aby nam zawczasu nadsyłać przedpłatę.

SIŁACZE W POLSCE.

Było to w niedzielę przed wieczorem. Przed chatą Klemensa Tuby siedziało kilkoro ludzi i rozmawiali o różnych rzeczach. W tem nadszedł Michał Pieniacz.

— A witajcie, miły kumie! zawołał Klemens Tuba.

— Bóg zapłać, witajcie moi mili! — przemówił Pieniacz — cóż tu porabiacie?

— A tak sobie gwarzymy — odrzekł Szczepan Wiarus — aby nam do miesiączka czas pięknie zeszedł. Cóżeście tam widzieli, to nam opowiedźcie a radzi słuchać będziemy.

— Ot cóż wam powiem — rzekł Pieniacz — chyba to, żem się przed chwilą bardzo zadziwił. Idę drogą, a tu od młynarza wiezie parobek kilka worów mąki. Nieszczęście chciało, spadł jeden wór na ziemię. Parobek męczy się i trudzi i nie może mu dać rady. W tem nadchodzi jakiś człowiek i pyta co się stało? Parobek mu powiedział, że nie może dźwignąć woru. — Co nie możesz dźwignąć? zapytał obcy i jak szarpnął, jednym rzutem położył wór na wozie. Ażem się zadziwił na to widzenie, bo to wór był nielada.

— Ej cóż tak dziwnego? — zagadał Grzegórz Bilski — przecież mój dziadek udźwigał korzec ziemniaków, a jak uderzył w stół pięścią, to się rozpadł na dwie połowy.

Siła u nas w dawnych czasach nie była niczem dziwnem. Ale bo też przodkowie nasi żyli inaczej niż my dzisiaj; my od nich żyjemy daleko wykwintniej a przytem różnemi rzeczami podkopujemy siły i zdrowie nasze. Przodkowie jedli i pili co innego, to też na wojnach nieraz dokazywali cudów waleczności i niezwykłą odznaczali się odwagą. I dzisiaj żyjemy na świeżem powietrzu, ale inne prowadzimy życie i wódką skracamy siły nasze. Dawniej pili ojcowie nasi miód wyborny, mieli głowę więcej spokojniejszą, żyli z Bogiem, zajmowali się więcej pracą w domu, na roli i w lesie, to też było u nich moc co się zowie.

— A czyto prawda — przerwał Klemens Tuba — że dawnemi czasy był jakiś Wyrwidąb i Waligóra; że pierwszy wyrywał dęby, a drugi walił góry?

— To tylko ludzie — odpowiedział Grzegórz — chcąc zachować pamięć dawnych siłaczów naszych, umyślnie tak o nich opowiadają, abyśmy wiedzieli, jaka to dawniej była siła. Gór nikt walić nie mógł,

ale nie było bardzo szczególną rzeczą, że ten i ów wyrwawszy drzewo z korzeniami bił niem nieprzyjaciela i pędził za dziesiątą górę. Przypatrzmy się owym żelaznym zbrojom, w które ubierali się przodkowie nasi, czyby je kto potrafił nosić dzisiaj? Dźwignąć, boby dźwignął, ale czyby potrafił w tém chodzić, wojować, a do tego przepłynąć rzekę, jak tego nieraz bywały wypadki?...

— Rozciekawiliście nas tem, miły Grzegorzu! — przemówił Michał Pieniacz — to może będziecie mieć ochotę i opowiecie nam chociaż o kilku siłaczach, boć wy czytacie książki i macie główkę nie od parady?...

— A dobrze, moi mili! — odpowiedział Grzegórz — i w ten sposób dalej opowiadał:

— Nie tylko między ludem wiejskim, co przywykł do pracy, ale i między panami, ba nawet królami była siła nadzwyczajna. Młode panięta nie były dawniej tak chowane jak dzisiaj. Zawczasu je hartowano i przyzwyczajano do niewygód, do znoszenia spiekoty i zimna, do głodu i pragnienia, do jazdy konnej, do różnych ćwiczeń ciała a nadto do robienia szablą i wysyłano je do obozu, aby na karkach nieprzyjaciół wyrabiać w sobie siły. Z królów polskich Zygmunt I i August II szczególną celowali siłą. Król Zygmunt I w młodości łamał podkowy, zginał jak pręty szyny żelazne, za jednem szarpnięciem rozdzierał paczkę kart do grania o wiele grubszych od naszych, a konopne powrozy zrywał jak nici. Król August II srebrne puchary (naczynia do picia) gniótł jakby papierowe. Janusz II, ostatni książę Mazowiecki, oprócz wielkiej siły umiał bardzo zręcznie rzucać wielkie kamienie a łuku nikt nie naciągnął od niego. Książe Konstanty na Ostrogu trzema włóczniami nacierał na nieprzyjaciela. Jan Tarło, krajczy Zygmunta I rozbestwionego niedźwiedzia przebijał oszczepem a jednem uderzeniem ręki rozbijał drzwi i zamki żelazne.

Kniazia Dymitra Wiśniowieckiego powieszono w Konstantynopolu na hak za żebro, ale sobie z tego nic nie robił. Dają znać o tem sułtanowi, który temu wierzyć nie chciał. Idzie tedy dla przekonania pod szubienicę i pyta Wiśniowieckiego czyby jeszcze mógł strzelać z łuku? — Dajcie, spróbuję! — odrzekł na to. Gdy mu łuk podano, naciągnął go silnie, puścił strzałę i omało, że nie zabił padyszacha. — Niejaki Godziemba, gdy szedł przeciw Morawianom, wyrwał sosnę z korzeniami i nią bił nieprzyjaciela. Smulski w Sandomierskiem, głową swoją rozbijał drzwi dębowe, a Marcin Brzozowski z gostyńskiej ziemi, tańczył z beczką piwa na ramieniu po izbie lub podwórzu i zupełnie się nie zmęczył. Piszą o Stanisławie Radzimińskim, kasztelanie Zakroczymskim, sławnym siłaczu, że najtęższego męczyznę brał na rękę i nosił jak dziecko. Konia, którego kilku ludzi nie mogło utrzymać na linie, pochwyciwszy za uszy, tak trzymał długo, dopóki mu uzdy nie włożono. Dziki rumak szedł potem spokojnie, co mu od silnego ściśnięcia łeb i uszy napuchły. Stanąwszy Radzimiński na jednej nodze nie dał się ruszyć najsilniejszemu chłopu a wołu rozjuszonego potrafił pochwycić i wyrwać róg za jednem szarpnięciem, gdy mu się szamotał. Prokop z Granowa Sieniawski, marszałak wielki koronny, jednem cięciem zabijał konia lub wołu, lub na pół przecinał, a ująwszy sześciokonną kolasę za koła, wstrzymał na miejscu. Eustachy Tyszkiewicz, wojewoda brzeski, lubił drażnić niedźwiedzie, a gdy się rozwściekliły, łby im ucinał...

— A to istne cuda, co nam mówicie, miły Grzegorzu! — zawołał Piotr Sędyk.

— Aj prawdać, że cuda — odpowiedział Grzegórz — bo dzisiaj są to rzeczy prawie nie do uwierzenia. A przecież tak było. Poznajcie tedy jacy to byli przodkowie nasi.

Tu podumał chwilę i tak znowu opowiadał:

— Na dworze Marcina Korwina, króla węgierskiego, był Polak, który bardzo zręcznie bronił się pięścią. Miał przytem siłę nadzwyczajną. Gdy raz głodnemu lwu wrzucono do klatki kawał barana, obowiązał się odebrać mu strawę. Jakoż wszedłszy do klatki, pochwycił mięso, a lwa uderzył w łeb tak silnie, że osłupiał, poczem siłacz wyszedł powoli i wyniósł mięso. Lew popatrzył się tylko na niego, ale go nie tknął nawet. Zygmunt Rozen, syn Jakóba, sędzi Sądeckiego i Bieckiego, pod Manaczanami, lubo naonczas chory, w sześćdziesiąt swoich puścił się na 300 tatarów i 52 położył trupem, 26 pojmał a innych zmusił do ucieczki. Marek Sobieski, wojewoda Lubelski, będąc jeszcze chorążym nadwornym w roku 1576, a chcąc przeciw powstańcom gdańskim prędzej przybyć na pomoc swoim, wskoczył do Wisły, natenczas dotkliwie ranny i całą przepłynął pod Trzewem w pełnej zbroi. Innym razem wyjechawszy z królem Stefanem na łowy, w oczach królewskich nie mając żadnej broni prócz szabli, zabił rozjuszonego niedźwiedzia, który na nich wypadł. Stanisław Leśniowolski, kasztelan Czerski, uderzywszy pod Newlem w półtora tysiąca na czterdzieści tysięcy Moskwy, położył na polu siedm czy ośm tysięcy trupa, resztę rozprószył.

Gdy król polski Zygmunt I. był z wojskiem swojem między Dąbrową a Smoleńskiem, niejaki Perstein, herbu Wieniawa, chciał przepłynąć Dniepr tamtędy płynący a był do kolan w pełną zbroję ubrany. Koń zaniósłszy go do połowy rzeki, zrzucił go z siebie. Wszyscy myśleli, że pogrążył w głębokości wody. Patrzał na to król Zygmunt i około trzy tysiące ludzi. Aż tu po pewnym czasie, chociaż ciężką miał zbroją na sobie, idąc nurkiem pod wodę po ziemi, przeszedł Persztein na drugą stronę Dniepru i jak sam mówił dwa razy tylko napił się wody.

Gabryjel Modliszewski miał oprócz siły niepospolitą zręczność. Ścinał chłopcu pieniądz drobny z głowy, nie tknąwszy żadnego włosa. Nikodem Pieniążek był takiéj siły, że konia równemi nogami w ubiorze husarskim przeskakiwał i podziwienia godne pokazywał sztuki. Chorąży Łęczycki zrywał naraz dwanaście powrozów konopnych a Wojciech Brudzyński, żołnierz za Aleksandra Jagiellończyka, w żelaznej zbroi podnosił sześciu husarów do góry. Ścibor Ściborzyc, herbu Ostoja, gdy Zygmunt I. przepływał Dunaj pod Nikopolem w czasie wojny z Turkami, rzucił się w ciężkiej zbroi w wodę i za łódką królewską przepłynął Dunaj, który pod Nikopolem jest szerszy niż Wisła pod Warszawą. Kopczak, piwniczy Branickiego, kasztelana krakowskiego, w sześć koni zaprzężoną karetę zatrzymawał w największym pędzie ująwszy ją za tylne koła. Wspomniony dopiero Brudziński jadąc na koniu, gdy się uchwycił belki nad bramą podnosił w górę konia swego ścisnąwszy go tylko obiema nogami. Wojciech Lachocki w pełnej zbroi przeskakiwał jadący wóz, lub pędzącego konia. Wojciech Padniewski jednym cięciem ściął Turkowi głowę wraz z ręką do pachy. A mazur Łoś, gdy się położył na ziemi, nikt go nie mógł podnieść z miejsca. Byli i tacy, co skrzydła wietrznych młynów zatrzymywać umieli. Michał Żółkiewski wyciągnięty sznur przecinał uderzeniem ręki a nosząc dwóch ludzi na rękach, trzeciego utrzymał w zębach. Ksiądz Druszkowski, gdy komu ścisnął rękę, to mu

tryskała krew ze wszystkich palców. Raz do ogrodu jego wparły żołnierskie konie. Żelaznemi sztabami połączył je razem i za płot powyrzucał. Mając siedmdziesiąt lat wieku tak jeszcze był silnym, że przełamywał naraz dwanaście srebrnych łyżek.

— Ale dla Boga żywego! — zawołał Stach Wątroba — to być nie może, żeby ci ludzie taką mieli siłę! To byli chyba olbrzymi, bo zwykły człowiek nie mógłby tego dokonać...

— Że to jest prawdą — odrzekł Grzegórz Bilski — to was zapewnić mogę. Stoi o tem wszystkiem w starych księgach i sam czytałem własnemi oczyma. Że to byli rośli ludzie i tęgiego ciała, to o tem wątpić nie można. Przekonywają nas po nich żelazne zbroje i broń różna, jak już wyżej powiedziałem. Nie były to lalki, ale ludzie czynu. Co o niektórych ludziach piszą stare księgi, to prawdziwie zdaje się być niepodobną rzeczą, a przecież to prawda święta...

— To jeszcze wiecie o innych siłaczach — zapytał Michał Pieniacz.

— Pewnie, że wiem — odrzekł Grzegórz — otóż posłuchajcie! I tak jął dalej opowiadać:

— Na króla Zygmunta Augusta napadł żubr, zwierzę do wołu podobne, lecz większe i okrutniejsze. W tem Piotr Wiesiołowski, marszałek wielki litewski, który był z królem, osadził żubra na oszczep i króla ocalił. Był to siłacz, któremu nic nie było dziwnego zatrzymywać rozpędzone karety lub podnosić konia. Tomasz Olędzki, kasztelan zakroczymski, jednym zamachem rozcinał pięć talarów srebrnych, ułożonych jeden na drugim. Maciej Kostka siedmiu ludzi, którzy mu się opierali, posuwał w którą chciał stronę, łamał podkowy w palcach, rozdzierał za jednym razem paczkę kart do grania, rozrywał powrozy i kruszył talary srebrne. Wojciech Cieński, regimentarz, który żył za Augusta II, pokazywał raz przed tym królem swoję siłę. Ująwszy grubą sztabę żelazną, wyginał ją na wszystkie strony, poczem założył ją na szyję strażnikowi i zakręcił na węzeł. A ponieważ król był także wielkim siłaczem, prosił uniżenie, aby go rozwiązał. Próbował król August, ale podołać nie mógł; woła tedy sławnego siłacza kowala z Warszawy, ale i ten nic nie poradził. W tenczas Cieński wziąwszy węzeł w rękę, rozwiązał go tak łatwo jakby był z wosku zrobiony. Tenże Cieński musiał mieć umyślnie dla siebie robione stołki i powozy, bo gdy siadł na cudzym, natychmiast go złamał. Będąc w Tarnowie widział jak chłopi składali z wozu beczki z winem. Z jednéj spadła obręcz, bali się więc staczać, boby się wino rozlało. Nadchodzi tedy Cieński, wybił czop z beczki, włożył dwa palce i na nich zniósł beczkę na ziemię. Innym razem stojąc w cukierni widział jak na przeciwległej stronie chłop kupował w sklepie żelazo. Trzeba mu zrobić figla — powiada do zgromadzonych i idzie do chłopa. A poczem poznajesz dobroć żelaza? — pyta. — Po dźwięku, proszę jegomości! — odrzekł chłopek: Nie mój kochany, po giętkości próbuje się żelazo. I to powiedziawszy, wziął szynę żelazną do rąk, wygiął ją kilka razy a potem opasał chłopa do okoła. Chłop w lament, bo Cieński odszedł. Chodzi od jednego kowala do drugiego, ale żaden pomódz nie może. Wraca zmartwiony do sklepu. Przychodzi Cieński i w okamgnieniu ku zdziwieniu wszystkich rozwięzuje grube żelazo.

Teodor Lacki, pisarz polny litewski, nosił na dłoni stojącego mężczyznę a gdy się oparł o ścianę, nie dał się ruszyć z miejsca. Mógł się naraz potykać z kilkoma osobami. W Wenecyi będąc rozjuszonego wołu dzikiego za rogi ująwszy tak nim uderzył o ziemię, że mu kark skręcił. Liny zrywał jak nici, wstrzymywał wozy i tak łuk naciągał, że mu nikt nie wyrównał. Przyszedłszy z posłem tatarskim na dwór króla Stefana, tak naciągnął łuk wyśmienicie, że za to otrzymał od króla pięknego rumaka. Stanisław Ciołek, wojewodzic mazowiecki, nadzwyczajną miał siłę; nad niego nie było podobno silniejszego. Skręcał miecze, łamał podwójne podkowy, targał grube powrozy a we wsi swojéj Ostrołęce dźwignął sam drzewo, którego dwudziestu ludzi ruszyć nie mogło, i zaniósł je do młyna. Dwanaście szabel ująwszy za końce podnosił jedną ręką z ziemi, a gdy ścisnął surowe drzewo, sok z niego wyciskał. Będąc w Krakowie, wyciągnął na wieżę przy kościele Panny Maryi dzwon wielki, którego nie podniosło czterdziestu ludzi. Pieniądze miedziane lub srebrne łamał dwoma palcami. Stawał często w kole szablą oznaczoném i kazał się dwunastu ludziom ciągnąć zapomocą sznurów, lecz go ruszyć nie mogli, on zaś szarpnąwszy pozrywał powrozy i powywracał ludzi. Raz był z Kazimierzem W. w Pradze. Próbował się tam z okrzyczanem siłaczem, lecz gdy go przycisnął do ściany, natychmiast wyzionął ducha. W 16 wieku żył w lasach Świętokrzyzkich sławny gajowy nazwiskiem Babań. Porastał on na całem ciele a szczególnie na piersiach i plecach. Husarza zbrojnego przewracał z koniem, drzewa 10 i 15 letnie wyrywał z korzeniami a kogo tknął palcem, musiał się wywrócić. Miał dopiero lat 36, gdy umarł.

Bywały także i kobiety, które się odznaczały siłą. Jedna ująwszy za pasy dwóch panów, naraz oknem wyrzuciła do ogrodu.

— A jak widzę, to wy macie pamięć nie lada, mój Grzegorzu! — powiedział Wątroba — kiedy sobie pamiętacie tyle nazwisk.

— Jabym wam wymienił i więcej — odrzekł Grzegórz — bo siłaczów było u nas mnóstwo, ale na to nie ma czasu.

— Mój Boże! — westchnął Wiarus — że to teraz nie ma takich siłaczów! Ludzie coraz słabsi; krócej żyją...

— Będą jeszcze słabsi i krócej żyć będą — odparł Grzegórz — gdy się pijaństwo rozszerzać będzie a ludzie nie zaprzestaną używać zbytecznie owej nieszczęsnej wódki. Jeszcze pomiędzy ludźmi na wsi dopatrzysz siły; w wyższych stanach ze świécą szukać jej trzeba, bo zaprzestano dawnych ćwiczeń ciała. Aby podtrzymywać zdrowie i siły uczą się teraz różnych ćwiczeń ciała, co się gimnastyką zowie. Nam trzeba więcej pracy a mniej pijaństwa, a niezawodnie lepszą mieć będziemy siłę, choćby nie taką, przez którąby cudów dokazywać można — a będzie i zdrowie lepsze i dola pomyślniejsza. Pracujmy i żyjmy inaczej zapatrując się na przodków, którzy dlatego, że inaczej żyli, dostarczyli nam przykładów siły i dostępowali wyższego niż my wieku.

— Prawdę mówicie, kochany Grzegorzu! — zawołali gospodarze i rozmyślając nad słowami Grzegorza, rozeszli się do domów, bo już późno było wieczór.

Ja zaś podaję wam tę gawędkę w całości, abyście i wy wiedzieli, co Grzegórz opowiadał.

Józef z Bochni. (Chmielewski)

Rady dziadka.

(Dokończenie).

Gdy ci wydać grosz przychodzi,
Rozważ sobie należycie,
I zrób w mieszku mu ukrycie —
On ci w krótce dukat zrodzi.
Bo kto każdy grosz szanuje,
Nierozważnie go nie wyda,
Ten nie pozna co to biéda;
I drugiego poratuje,
Przyszłość dziatkom zabezpieczy,
Nie braknie mu żadnych rzeczy;
Przykrej doli nie zna gromu —
Spokój święty ma w swym domu.
A wieluż to ludzi bywa,
Co zajęci praca krwawą —
A przecież się każdy gniéwa,
Na świat piękny patrzy łzawo!...
— Tylem, tylem miał pieniędzy,
A dziś — woła — żyję w nędzy...
Bo letkiewicz, bo ladaco,
Choć grosz zdobył ciężką pracą,
W wszystkie strony go rozrzucił,
I nie dobrze go obrócił.
Bywał w karczmie, pił gorzałę
I wieczory, ranki całe;
Niszczył zdrowie, ten dar nieba...
Brakło grosza — brakło chleba —
Więc bezczelnie wygaduje,
Że go szczęście prześladuje!

Nie na zbytki, figle zdobne,
I na rzeczy tym podobne
Oszczędzone wydaj grosze,
Mienie zwiększy się potrosze.
Idziesz czasem, gdzie sprzedają,
A że tanio pozbywają,
Wnet się bierze chęć w tej dobie,
By co tanio nabyć sobie.
Kupisz — bo ci jest pochlebne —
W rzeczy samej nie potrzebne,
A więc pieniądz zmarnowany
I jak przyznasz — źle — wydany!
Jeden zbytek inne rodzi,
A kieszeni bardzo szkodzi;
Grosz po trochu z niej się wyda,
A źle potem, kiedy biéda!
Jeden zbytek — bagatelka —
W gruncie rzeczy szkoda wielka,
Bo do zbytku już pierwszego,
Trzeba będzie wnet drugiego;
Przyjdzie trzeci, czwarty, piąty,
By jednako przybrać kąty.
Człowiek coraz więcej łaknie,
Aż nakoniec grosza braknie;
Nie ma tego, co potrzeba,
Powszedniego braknie chleba.
A więc długi, łez obficie —
Przez pieniędzy złe użycie.

Kiedy czego nam brakuje,
Wtedy wartość się uczuje.
Chceszli poznać, co grosz znaczy,
Idźno tylko do bogaczy,
Chciej pożyczyć — co cię spotka:
Czy rzecz przykra albo słodka?...
Prędzej pewnie, że zniewaga,
Bo poniża, kto pomaga.
A mieć długi, nie zapłacić,
Znaczy honor, wolność stracić;
Wstyd mieć w oczach wierzyciela —
Nie mieć swobód i wesela.
Człowiek tylko się rumieni...
Toż się zawsze radź kieszeni,
Gdy cię zbytek, pycha kusi,
Czy koniecznie to być musi,
Co świat modny nieraz poda,
Bo ztąd może wypaść szkoda.
Lepiej schludnie a nie modnie,
Bo to taniej niezawodnie;
Patrz na tylnie raczej koła —
A będzie twa myśl wesoła.

Oko pańskie konia tuczy —
A przysłowie inne uczy:
Gdzie nie dojrzysz — nie przysporzysz,
Pewnie workiem tam dołożysz;
Więc nie tylko, że utracisz,
Nadto jeszcze to przypłacisz.
A więc, radzę, bywaj wszędzie:
I w stodole i na grzędzie,
I w śpichlerzu i w komorze,
I w stajence i w oborze;
Wiedz, co robią koło chaty,
A nie będziesz miał utraty.
W domu niech znów zarząd czyni,
Dobra żona, gospodyni;
Doglądajcie, bądźcie wszędzie,
A pewnie wam źle nie będzie;
Nadzór większe ma znaczenie,
Niż przy pracy wysilenie.
A chociażbyś, bracie miły,
Wszystkie w pracy stargał siły,
Gdy nie dojrzysz twego mienia,
Grosz wydajesz bez znaczenia —
To doczekasz się niedoli,
A co gorsza — z własnéj woli!

III.

Kogo — dziadek nam tłómaczył —
Los na pracę tu przeznaczył,
Niech pracuje, ile zdoła;
Niech nie marszczy swego czoła,
Że za przykra jego dola —
Bo to taka Boża wola.
Gdy ma robić — to uczciwie,
I rzetelnie, sprawiedliwie.
Gdy dał słowo, niech je trzyma;
Kto je łamie, wiary nie ma,
Toż takiego pewnie człeka
Dolegliwość w życiu czeka.
Dajesz słowo — to już święte,
Nie powinno być cofnięte.
Nim je dajesz, pomyśl zdrowo,
Byś się spisał honorowo —
Innym zrobisz niewygodę,
Sobie kłopot, może szkodę.
Nie oszukuj, daj co czyje,
Bo rzetelny z Bogiem żyje...

IV.

O szczęśliwa ta nagroda,
W któréj mieszka pokój, zgoda,
Bo gdzie onych panowanie,
Tam Bóg swoje ma mieszkanie.
Gdzie ich nie ma, gdzie niezgoda,
Tam się wszystko niszczy, psuje;
Pierzcha szczęście i swoboda —
Tam Bóg łaskę odejmuje.
Czy to w chacie czy to w siele,
Ztąd wypada szkody wiele.
Nie pomoże i oględność,
Wszelka praca i oszczędność;
Jedno z drugiem pomarnieje —
Bo niezgoda piekło sieje.
A więc, dzieci, dłoń do dłoni!
Zgodnie żyjcie w waszem kole;
Jedno serce niech w was dzwoni —
Uczujecie słodką dolę;
Wypędzicie z chatek biesa,
Nie poznacie co procesa;
I wszystkiemu podołacie,
Każdą sprawę tu wygracie,
Założycie raj na ziemi;
Błogość, mienie się rozplemi,
Będzie pomoc i usługa
I do rady i do pługa —
Nie doznacie smutku, troski,
Spłynie na was łaska z nieba,
Klęski znikną z waszej wioski,
Ale zgodnie żyć wam trzeba.

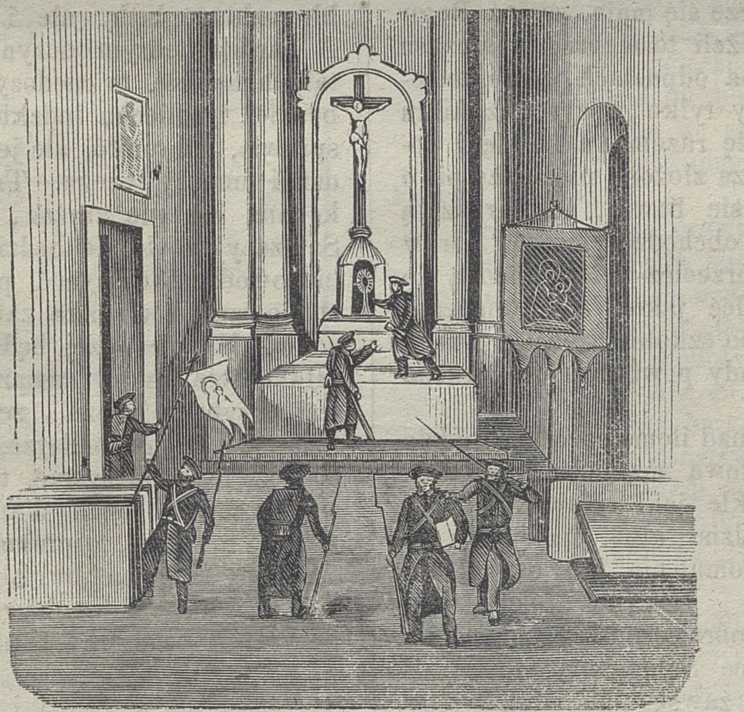
Kto pracuje i oszczędza,
W rzetelności wiek przepędza,
Żyje z ludźmi tak jak z braćmi,
Ten nie prędko oko zaćmi,
I źle się mu wieść nie może,
Tego dzieci: Daj wam, Boże!

Józef z Bochni.

Prześladowanie kościoła katolickiego pod rządem moskiewskim.

V.

Od lutego nie pisaliśmy Wam nic o „prześladowaniu naszej Wiary Śtej“ — przez Moskali. Do poprzednich opowiadań jeszcze jedno dodamy Czytelnikom naszym, a mianowicie: w jaki to sposób Moskale bezczeszczą świątynie Pańskie, jak urągają z naszych Ołtarzy!



Oto w roku 1863 podczas powstania rabowali Moskale wsie i miasta, jeżeli przez wieś lub miasto przeszedł oddział powstańców. Cóż winni mieszkańcy wsi lub miasta, jeżeli przyszedł do nich jaki oddział powstańców, zakupił żywności i poszedł dalej. Najpierw każdemu wolno sprzedać co chce, i komu chce, a powtóre, jakże było niesprzedawać żywności swoim rodakom, tém więcej, że dobrze płacili za nią.

W końcu, gdyby kto był i niechciał sprzedać, to musiał, bo zbrojny oddział powstańców płacił dobrze za wszystko, ale też nie prosił się, tylko rozkazywał. — Trudno więc opierać się tam, gdzie z bronią w ręku rozkazują.

Moskale niezważali na to, ale rabowali, a potem palili wsie i miasta, przez które przeszli powstańcy. Jak kto chciał ratować swoje mienie, i bronił domu od ognia, to go Moskale wrzucali w ogień i żywcem palili.

Przed podpaleniem rabowali wszystko.

Oto obrazek pokazuje, jak Moskale wpadają do kościoła — burzą ołtarze, wyrzucają Przenajświętszy Sakrament z monstrancyi, a złote monstrancye i kielichy — lichtarze srebrne i inne kosztowności kościelne zabierają — zostawiając w kościele pustki i obdarte ściany.

Ornatami przykrywali swoje konie — a z komżyrobili sobie koszule.

Dużo by to było opowiadać o tych wszystkich gwałtach Moskali — o ich bezbożnych czynach — a gdyby kto chciał wszystko to spisać, toby tego i w najgrubszej książce niepomieścił, a wybyście i za rok tego nie przeczytali.

....W ....K

Jeszcze słów kilka
o zjeździe w Krakowie.

Mówiłem Wam w przeszłym numerze, że wójt Cięciała witając Was w imieniu Szlązaków powiedział

na co się takie zjazdy odbywają — zastanówmy się więc dzisiaj nad tem.

Jak już pewnie z „Włościanina“ wiecie, szlązki lud jest pracowity, skrzętny i pobożny, wódki niecierpi a jeżeli czasem na szklankę piwa do karczmy zaglądnie, to nie bez tego, żeby go tam nie ciągnęła gazeta, którą prawie w każdej wsi, trzyma za swoje pieniądze karczmarz szląski dla przywabienia sobie gości. Ale za to na jarmarkach i odpustach to aż się przepchać trudno, tyle zawsze jest luda. Bo gospodyni pracuje usilnie, zawsze więc potrafi sobie na jarmark uzbierać, to-z półsotek płótna, to z parę kóp jaj, lub wreszcie co z nabiału, ula, lub jarzyny. A gospodarz dobytku swego nie zmarni, a na swoim kawałku ziemi tak skrzętnie pracuje, że bardzo często z tego, o czem się nam ani śni, pożytek umie wyciągnąć. Często gęsto znajdzie się potrzeba pójść do miasta; to dokupić jakiego byczka, lub konika do gospodarstwa, a czasem i co lepszego do zjedzenia. Bo trza wam wiedzieć, że szląski włościanin, chociaż nie większy ma jak u nas grunt, to przecież lepiej się ma, bo lepiej jak u nas gospodaruje. Bo czytając książki i gazety wie co pokupne a co nie, dowie się często jak w nowszych czasach doszli ludzie gdzie co lepiej siać, jak lepiej pod co uprawiać, jak tanim kosztem przezimować bydło. Wyście pewnie nie słyszeli, że 114 funtów słomy na sieczkę zerzniętej i sparzonej dwoma funtami soli daje bydłu tyle pożywienia co 300 funtów buraków. A oni z tego korzystają. Dla tego u gospodarza mającego taki grunt, że u nas ledwo by z niego wyżył, tam na obiad zawsze oprócz postu mięso na stole, a w chacie zawsze i książek parę i gazeta jaka się znajduje. A że niemówię tego na wiatr, to się z tego przekonać możecie, że chociaż Szląsk ma kilkanaście razy mniej mieszkańców jak Galicya, tamtejsza Gwiazdka Cieszyńska, na tysiące liczy prenumeratów a nasz Włościanin ledwie pareset. Dobrze się mają, są też Bogu za to wdzięczni, dla tego jeżeli to nieprzerywa czasu roboczego, pełno ich jest na odpustach, a po nabożeństwie nie idą do karczmy tylko wszyscy z kilku wsi przybyli zgromadzają się razem, a że się i pokrzepić trzeba, sprowadzają za złożone pieniądze piwo i muzykę i naprzemian to się bawią, to naradzają nad sprawami wszystkich obchodzącemi. A spraw takich zawsze jest dosyć, przecież dzieci chodzą do szkoły, trzeba nad tem myśleć jakich mają nauczycieli i co im dawać czytać po szkole. Przecież trzeba wybierać i do sejmu i do rady powiatowej, to trzeba wiedzieć jakich ludzi.

Ej! czyby to wyliczył nad iloma rzeczami ludzie z dobrą chęcią i niezłą głową mają się naradzać. Na zakończenie zjazdu zwykle jaki człowiek co dobrze miał w głowie powiedział albo przeczytał co zdawnych czasów na przypomnienie lub naukę dla teraźniejszych.

Takie przyjemne i bez obrazy boskiej spędzanie czasu spodobało się w krótce Szlązakom, urządzali więc u siebie takie zabawy, zawsze jak mieli wolny czas. A że na takich zabawach wszystko działo się tak pięknie i miło, że aż narodowi przynosiło chwałę, nazwali je zabawami narodowemi. A takie zabawy narodowe, gdzie ludzie rozumnie i do serca mówili, ludzie tacy jak pp. Glajcar, Miarka, Cięciała, Filasiewicz, Mść. X. Badura, ściągały ogromne masy ludu.

Z początku niewiedzieliśmy nic o takich zabawach, ale po takiej zabawie jaka była zeszłego roku w Sibicy, wszyscy dowiedzieliśmy się o niéj i błogosławili ludzi co nauczyli tak miło i pięknie, bez obrazy Boga a na pożytek i chwałę ludzi czas spędzać.

Pamiętacie moi gospodarze te czasy, gdzie to w nas koniecznie chciano wmówić żeśmy niemcami, i wszkole uczono was po niemiecku, i z urzędu pisali po niemiecku i niemca urzędnika nam przysyłali. U nas dzięki Bogu te czasy minęły, ale z Szlązaków chcą gwałtem zrobić Niemców, Oni się bronią i wypraszają jak mogą. Ot niedawno posłali do cesarza adres czyli prośbę, w której tłomaczą się że nie są niemcami, i na miły Bóg proszą, żeby po naszemu u nich było, a co lepiej, aby ich kraik, z którego niemcy chcą zrobić niemiecką prowincją, do nas przyłączyli. Posłali do cesarza prośbę, a sami, aby pokazać że nie są niemcami i Kraków za swoje uważają miasto, u nas zrobili taką zabawę narodową. Dla tego to p. Cięciała powiedział: Chociaż nas podzielili sztucznemi granicami, choć nam innym każą, mówić językiem, my przecież przyjechali do was, do naszych Braci, bo się uważamy za synów jednej matki Ojczyzny. Tak przyszło do zjazdu w Krakowie, a jak się cieszyliśmy, bawili i wzajemnie pocieszali, opowiedziałem wam w poprzednim numerze. Oj Bracia włościanie przecieśmy nie tacy twardzi i źli, żebyśmy nie potrafili dobrego przykładu naśladować. Dowiedzieliśmy się jak włościanie szląscy urządzali u siebie zabawy narodowe, pomyślmy więc nadtem czy i my niepotrafilibyśmy urządzać podobnych zabaw? Teraz lato, świąt dosyć i odpustów więcej jak kiedyindziej. Nie było by to dobrze, żeby chociaż jedna kompania po nabożeństwie zeszła się razem i tak pięknie i miło się zabawiła jak Szlązacy u siebie się bawią. Za nią poszły by i inne a tak i u nas przyjął by się ten piękny zwyczaj. Przecież dzięki Bogu nie brak u nas nóg do tańca, i głowy dobre a zdolne do rady i przemówień się znajdą, jak Szarek, Waligóra, Stokłosa, a znajdzie się pewnie i więcej. Tych szczególnie prosimy niech się nad naszemi słowami zastanowią a za spełnienie dobrego uczynku nie tylko ludzie błogosławić będą, ale i Bóg łaską swoją obdarzy. A bardzo dobrym uczynkiem byłoby zaprowadzenie takich zabaw, to niedosyć żeby się ludzi od obrazy boskiej i śmiechu ludzkiego, jak wódka w karczmie sprawia, uchroniło, ale jeszcze i czas przyjemnie spędzi i nauczy czego. Trzeba tylko chcieć i przeszkodami się nie zrażać, a da Bóg wkrótce tak jak Szlązacy bawić się będziemy. Nie trzeba się zrażać niepowodzeniami, boć przecie nie odrazu Kraków zbudowano, toć i taka zabawa trudno, aby się od razu udała. Na pierwszej będzie kilkoro ludzi, na drugiej kilkanaście, a na czwartą i piąta to już z drugiej wsi przybędą. Jeżeli zechcecie zastanowić się nad tem panowie gospodarze, co powiedziałem, i zamyślacie z tego korzystać, to *szczęść Wam Boże,* w waszej pracy, a jeżeli Wam się uda choć jedną taką zabawę urządzić, to przymijcie serdeczne: *Bóg zapłać* od tych, co chcieliby, aby nasz lud nietylko pracą, ale moralnością i zabawami swemi innym narodom przodował — a przynajmniej gorszym od nich nie był.

St. J.

ROZMAITOŚCI.

— **Rada powiatowa** w Gorlicach zaprenumerowała 5 egzemplarzy. „Włościanina.“

— **Marnotrawstwo.** Nazywamy tego marnotrawcą, który lekkomyślnie cały swój majątek zmarnował;

ale to jeszcze nie jest najgorsze marnotrawstwo, bo pieniędzy znowu przez pilność, staranność i oszczędność nabyć można i wynagrodzić to, co się przez marnotrawstwo straciło. Najszkodliwsze marnotrawstwo, jest marnotrawstwo czasu, bo czas raz stracony, na żaden sposób już się powetować nie da.

Mądre zdania. Najmilsza Bogu muzyka, głos poczciwych ludzi. — Nie ten mądry, co dużo gada, ale ten co mało, a dobrze mówi. — Korzenie nauki są gorzkie, ale owoce smaczne.

Szczęście to szkło, łatwo stłuc się może.

Najpierw sądź siebie, a potem drugich.

Jeden grosz źle nabyty, dziesięć poczciwie nabytych za sobą wyciągnie. — Doświadczenie dobrą jest rzeczą, ale cóż z tego, kiedy w tenczas przychodzi, gdy go już nietrzeba.

Wstrzemięźliwość i praca, najlepszem jest dla człowieka lekarstwem. — Strzeż się obrazić, bo trudno przebłagać; strzeż się obmówić, bo trudno odwołać. — Kto pieści dzieci za młodu, ten w starości będzie na nie płakał.

Bez pracy i cierpliwości, nic nie ma na świecie.

Kto ze złym przestaje, ten się sam gubi.

Przestawaj na tem, co masz i mieć możesz, a będziesz szczęśliwy.

Największy komin. Największy komin znajduje się w kopalniach soli w Wieliczce, bo jest wyciągnięty z najgłębszej szyby kopalni, aż na światło dzienne, dla odprowadzenia dymu. Do szyby tej prowadzi 1030 wschodów aż do 600 stóp głębokości. Sam koniec ma 73 sążni wiedeńskich wysokości — a użyto do jego budowy 7 milionów cegieł.

KALENDARZ.

Lipiec ma dni 31.

	Dnie	Święta Rzymskie
1	Piątek	Teobalda Opata wyz.
2	Sobota	Nawiedzenia N. M. P.
	Ewangelia u Łuk. św. w rozdziale 5. O obfitym Piotra połowie ryb.	
3	Niedziela	4 po Świąt. Anatolego wyz.
4	Poniedziałek	Józefa Kalasantego wyz.
5	Wtorek	Karoliny panny.
6	Sroda	Izajasza proroka.
7	Czwartek	Estery królowej.
8	Piątek	Elżbiety królowej wdowy.
9	Sobota	Cyrylla biskupa.
	Ewangelia u Mat. św. w rozdziale 5. O sprawiedliwości.	
10	Niedziela	5 po Świąt. Jana z Dukli.
11	Poniedziałek	Pelagii panny męcz.
12	Wtorek	Jana Gwalberta wyznawcy.
13	Sroda	Małgorzaty panny męcz.
14	Czwartek	Bonawentury doktora wyz.
15	Piątek	Rozesłańców apost. i Henr.
16	Sobota	N. M. P. Szkaplerznej.

Urlopnicy: Franek, Michał i Stach o kradzieży.

Franek. Dobre rano!

Michał. Serwus!

Stach. Jak się oni mają?

Franek. Holt po seredyni, ale tabaku feluje.

Stach. To prawda.

Michał. A cóż? Muterka ci nie da na tabak?

Franek. Nie ma geltagu dziska.

Stach. Ja wczoraj byłem u siana na ługach i zarobiłem sobie 10 centów, alem doraz wypił piwa i cygar wykurzył.

Franek. To je taki dobre. Piwo, bier, to je fajne. Ale wiecie chłopcy co? Pogadajmy sobie po naszemu. Żart na bok, ale człek napiłby się wódki i cygaroby się wykurzyło albo tytuniu, a nie ma za co. Trzebaby tu dziś obmyśleć jaki sposób.

Stach. Cóż obmyślać? Przecież kraść nie pójdziemy.

Franek. No ja, to prawda.

Michał. Biéda! Człowiek teraz nic nie fasuje, a zdałoby się. Ono lepiej przy kompanii.

Stach. Nic nie pomoże, trzeba pójść z kosą, to się zarobi.

Franek. Czy będzie u Mośka muzyka w niedzielę?

Michał. Ma być, ale któż tam pójdzie z gołą kieszenią?

Stach. Bądźcie zdrowi chłopcy, bo muszę iść w pole z tatusiem.

Michał. Serwus.

Franek. Dobrze, że poszedł od nas. Wiesz ty Michałku? Trzeba co obmyśleć na niedzielę.

Michał. Zkądże wziąść?

Franek. Ja tu już o tem myślę. Trza pojść na jaką zdobycz dziś wieczór.

Michał. Gdzieżby pójść?

Franek. Chyba do starego Sobka na gęsi.

Michał. Co ty gadasz? Jakże weźmiemy, kiedy krzyku narobią?

Franek. To je prawda. Gdzież więc pójdziemy?

Michał. Mnie się widzi, że Krochmalka nie zbiera płótna na noc; to będzie najlepsze.

Franek. Którędyż tam pójdziemy?

Michał. Koło stodoły przez płot, albo przez potok się przebrnie. Ale co zrobimy z tem płótnem?

Franek. To już bajka! Jutro ponoś targ w mieście, to się pchnie między żydów.

Michał. To będzie dobrze. Rozejdźmy się, bo ksiądz idzie, a wieczór zejdźmy się koło spichlerza. Bądź zdrów Franku.

Franek. Serwus.

A. Skoczek z Radomyśla.

Urlopnicy: Franek i Michał kłócą się z wartą nocną.

Franek. Czy już chodzą wartnicy?

Michał. Chodzą i Gerwazy Olszowy i Wicek Mrozek.

Franek. A gdzie są?

Michał. Pewnie pod karczmą. Ot słyszysz gwar?

Franek. Chodźmy we wieś ku karczmie.
Michał. Ot, słyszysz? Idą ku nam.
Franek. Poczkajmy, niech przejdą.
Gerwazy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Franek. Serwus!
Gerwazy. Kto tu? Co za jedni?
Michał. To my są wojaki.
Franek. Holt werdo!
Gerwazy. Ty nas się nie pytaj, bo nie masz prawa do tego.
Franek. Pasyr!
Gerwazy. A tak, po sér.
Franek. Holt po co?
Gerwazy. Jużcić mówisz, ze po ser idziesz.
Franek. No ne je prawda. To je wojenckie „pasyr.“
Michał. No ja, kut frai, to je taki prawda.
Wicek. Dokądże wy się chłopcy prowadzicie?
Franek. My ne są żadne chlapcy; my są cisarskie muże.
Michał. Prawda tego je.
Franek. My holt idziem na śpacerku.
Gerwazy. Na spacer tak późno w nocy? Przecież już koguty dawno na północek odpiały.
Wicek. Idźcie spać chłopcy, bo noc. Jeszcze was kto zobaczy i powie potem, żeście lamparty albo złodzieje.
Michał. No, tak ja im dziękuję pokornie za dobre słowo.
Franek. Co! my są złodzieje? Basama lelki!
Gerwazy. Stul! nie wykrzykuj, bo cię tu nikt złodziejem nie nazywa. Ale jak was kto zobaczy, to Bóg wie, co będzie myślał o was.
Franek. Ty sakramencki.
Gerwazy. Nie klnij i nie wrzeszcz, bo cię weźmiemy do klitki i co nam zrobisz?
Franek. Co? nas wojaków do klitki?
Wicek. A tak, boście nie wojaki, tylko urlopniki, włóczykije po nocach.
Franek. To ne je wolno.
Gerwazy. Dziś w nocy my mamy prawo do każdego, co się włóczy lub co złego robi, bo my oba z Wickiem jesteśmy na warcie i mamy pilnować, żeby był porządek. A kto robi nieporządek, tego z ulicy mamy sprzątnąć i zaprowadzić w ciche miejsce.
Franek. No gdzie sem?
Gerwazy. Do kozy! rozumiesz, czy nie?
Wicek. Dajmy temu spokój! Idźcie chłopcy spać a i my chodźmy dalej.
Michał. Dziękuję im pokornie za dobre słowo.
Franek Serwus!
Gerwazy. Prawda, żeś oberwus, boś nie dawno chodził za poganiacza i nikt o tobie we wsi nie wiedział; a teraz żeś się ubrał w kiklę i w kamasze, to już byś się i do wartników brał.
Franek. No, zostaną holt zdrowi!
Gerwazy. Boże prowadź.
Wicek do Gerwazego. Oni tu czegoś po wsi szukają, bo czegóżby się tak pożno włóczyli?
Gerwazy. Patrzmy, gdzie się obrócą?
Wicek. Zakręcili ku Krochmalce.
Gerwazy. Ku młodej?
Wicek. Nie, ku starej.
Gerwazy. No, to nic, kiedy nie tam. Ale chodźmy za nimi, tylko po za płociu.
Wicek. Wy sąsiedzie idźcie ku kościołowi, ot tędy przez potoczek i gwizdnijcie tam, to oni będą myśleli, żeśmy przy kościele, a ja po zapłociu podsunę się ku Krochmalce.

Za chwilę wraca Wicek do Gerwazego pod kościół i opowiada:

— Ja stałem sobie za węgłem pod stodołą. Kiedyście wy gwizdnął, to Franek przesadził płot i spuścił się ku dołeczkowi, gdzie Krochmalka płótno rozciąga. Zwinął dwa kawałki i poszedł prosto potokiem, a Michał po zapłociu chyłeczkiem za nim.
Gerwazy. Dobryś! Pokażę ja ci, co to jest „sakramencka.“
Wicek. To doskonale się trafiło, bo te bestyje nikomu dobrego słowa nie dadzą, a złodzieje do tego.
Gerwazy. Robić się temu nie chce, a grosz mu potrzebny, więc idzie kraść.
Wicek. Jakże z nimi zrobimy?
Gerwazy. Powoli! Jutro raniutko pójdę do miasta, bo piątek, a oni tam będą z tem płótnem. Powoli ich wydamy. Dobrzeście zrobili, żeście ich nie odegnali, niech mają większy wstyd i hańbę.

W piątek urlopnicy płótno w mieście sprzedali, a w niedzielę była muzyka u Mośka.

A. Skoczek z Radomyśla.

Książki pożyteczne do czytania dla bibliotek ludowych poleca się:

Darowski W. Katechizm rolniczy dla młodzieży wiejskiej, 30 cent.
Krótki rys hodowania zwierząt domowych ze względu na ich wydoskonalenie i użytek w pracy, 10 c.
O sposobie poznawania mleczności krów, 10 cent.
Nauka o nawozach, czyli podręcznik praktyczny dla gospodarzy wiejskich z figurami w tekscie, 85 c.
Uprawa ziemniaków, przez Guolicha, 36 cent.
Uprawa roślin pastewnych i ich użytkowanie na paszę, 2 tomy, Złr. 3 cent. 75.
Pomoc własna, dzieło Samuela Smilesa, serya druga spolszczona. Warszawa, cena Złr. 2 cent. 50.

Książki te nabyć można wprost z Redakcji „Włościanina“, lub z księgarni Wł. Jaworskiego w Krakowie.

CENY ZBOŻA W TARNOPOLU.

	Złr.	kr.
Pszenicy . . korzec	9	75
Żyta . . . . „ .	4	60
Jęczmienia . . „ .	4	80
Owsa . . . . „ .	3	90
Kukurudzy . . „ .	—	—
Hreczki . . . „ .	—	—
Koniczyny . . „ .	50	—
Rzepaku . . . „ .	13	70
Grochu. . . . „ .	5	—

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Czesław Pieniążek.*

W Drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.